

Sztandar Młodych

A

Warszawa, ul. Wspólna Nr 61

wydanie

Nr 28 z dn. 3-02-1975



tywnego na zachodzie „Ruchu Wyzwolenia Kobiet” czy w ogóle współczesnej rewolucji obyczajowej. Czytając i oglądając „Białe małżeństwo” doznaję wrażenia, że mówi do mnie autor nieobecny w świecie współczesnym, co jest paradoksem tym większym, że Tadeusz Różewicz jest autorem znakomitego poematu „Regio”, poruszającego te same sprawy o ileż nowocześniejsze i... śmielej.

Bo rzekoma obsecnicznosc tego utworu jest rowniez pozorna.

Różowe małżeństwo

KIEDY „Białe małżeństwo” Tadeusza Różewicza ukazało się drukiem, rozgorzała wokół tego utworu poważna dyskusja. Odezwało się wiele oburzonych głosów, że Różewicz przesadził w obscenach, a byli i tacy, co zgola twierdzili, że poeta zdradził powołanie wieszczą, zagłębiając się w alkwianych szczegółach i to nie nie najsmaczniej podanych. Wielu zdumiało także — ale już w innej sferze — odejście Różewicza od dawniej wyznawanych i z powodzeniem realizowanych koncepcji „dramaturgii otwartej”: „Białe małżeństwo” to dramat „tradycyjny”, z początkiem i końcem. Ta ostatnia kwestia wyjaśniła się w rozmowie autora z Konstantym Puzyną, drukowanej niedawno w „Dialogu”. Różewicz ogłosił pewien etap swej twórczości za zakończony (co za cios dla licznych epigonów!) i zadeklarował zainteresowanie właśnie dla... „dramaturgii zamkniętej”.

Wróćmy jednak do „Białego małżeństwa” i jego szokującej dla niektórych treści. Ja osobiście, po uważnej lekturze dramatu, nie poczułem się ani zaskokowany, ani zgorszony — jedynie bardzo, bardzo zawiedziony. Uważam mianowicie, że nie ma takiej dziedziny ludzkiego życia i ludzkich przeżyć, która „nie nadawałaby się” na temat dla poety, dramaturga, pisarza, w ogóle dla artysty. Toteż, jak wiek wiekiem, wszelkie objawy zgorzienia wobec dzieł sztuki były najczęściej odruchami protestu i lęku najbardziej zacofanych części społeczeństwa (i ich rzeczników), zagrożonych w swych estetycznych upodobaniach. Przypomnijmy koleje losu choćby „Ulissesa” Joyce’a, atakowane go właśnie za obscenicznosc, za rzekomą pornografię, podczas gdy w gruncie rzeczy chodziło o to, że dzieło w rewolucyjny sposób przekraczało granice gustów pewnej epoki. Warunkiem jednak — by zastosowanie pewnych chwytów artystycznych, obecność pewnych treści było w pełni usprawiedliwione, było naturalne — jest wysoki poziom artystyczny dzieła, a nade wszystko wyższe racje, jakim dane dzieło służy.

I tu właśnie miejsce na zawód, jaki sprawia „Białe małżeństwo”. Piszę się, że chodzi w tej sztuce o kwestię „seksualnego wyzwolenia kobiet”, co rozumiem szerzej, bo przecież nie istnieje żadne „wyzwolenie seksualne” w oderwaniu od wyzwolenia obyczajowego, społecznego, duchowego. Zdawałoby się więc, że sztuka Różewicza włącza się w nurt pewnych procesów, aktywnych we współczesnym świecie. I oto nic podobnego! Różewicz podejmuje ten temat, ale czyni to na sposób wyłącznie dziewiętnastowieczny, absolutnie nie przystający do problemów np. dzisiejszego ak-

Jest wręcz przeciwnie, niż chcieli oburzający się „moralisci”: utwór Różewicza jest — mówiąc brutalnie — wręcz pruderystyczny i to właśnie na ów dziewiętnastowieczny, podtatusiały sposób, przypomina nieodparcie świntuszenie po kolacji, kiedy dzieci poszły spać. Jakże dalekie jest to wszystko od prawdziwej erotyki! A już tym bardziej od erotyki współczesnej, która zdaje się być poecie całkowicie obca (a zapewne nie jest — więc po co ta stylizacja?)

Reakcje widzów w warszawskim Teatrze Małym, gdzie „Białe małżeństwo” jest aktualnie na scenie, potwierdzają moje tezy. Niektórzy widzowie przychodzą tam, aby nawdychać się „zakazanej” atmosfery, aby pośmiać się z niektórych kwestii, których nie wypadłoby powtórzyć w salonie (a w teatrze można! patrzcie, państwo, co za czasy!) oraz aby rzucić okiem na rozebraną panienkę, która przesuwa się po scenie. Tak więc cała sfera filozoficzna, społeczna, moralna sztuki Różewicza zostaje gdzieś obok, przechodzi bez echa, na wierzch wychodzi tylko najpłytsza „obyczajówka” z akcentami komediowymi. Nie o to chyba chodziło?

Miałem nadzieję, że teatr uratuje „Białe małżeństwo”. Była na to szansa — pozornie paradoksalna — w tym, co zapowiadają pierwsze sceny przedstawienia: w komediowym poprowadzeniu sprawy, w potraktowaniu dramatu jako totalnej kpiny. Tak się jednak nie stało: za chwilę ujawniły się próby poważnego traktowania niegdyśiejszej problematyki, celebrowania demonicznej erotyki a la Przybyszewski — co również budzi śmiech, ale to już jest śmiech przeciwko sztuce.

Raz jeszcze powtarzam: nie poczułem się ani przez moment zgorszony, ani sztuka, ani przedstawieniem. Tylko zawiedziony. Powiem więcej: skoro już autor i teatr zamierzili poruszenie pewnej sfery obyczajowej, która wydawała im się tabu, powinni byli to uczynić w sposób przynajmniej nowy, może nawet właśnie szokujący. Tymczasem w przedstawieniu — jak i w sztuce — erotyka kończy się na koronkowych dessous (bo zabrakło nawet tych ikonograficznych szczegółów, które najbardziej gorszyły przy lekturze dramatu).

Aktorzy grający w „Białym małżeństwie” znajdowali się — przyznaję — w nieszczytnej sytuacji. Stąd też różnorodność interpretacji aktorskich, od farsy, do prób głębokiego przeżywania problemów dramatu. Pośród tej różnorodności jedynie Anna Chodakowska potwierdziła raz jeszcze rozległą skalę swego talentu, pozwalającego jej wybrnąć z najniewdzięczniejszych zadań.

MACIEJ KARPIŃSKI

Sztandar Młodych

A

Warszawa, ul. Wspólna Nr 61

wydanie

28 — 3 -02- 1975

Nr z dn.



tywnego na zachodzie „Ruchu Wyzwolenia Kobiet” czy w ogóle współczesnej rewolucji obyczajowej. Czytając i oglądając „Białe małżeństwo” doznaję wrażenia, że mówi do mnie autor nieobecny w świecie współczesnym, co jest paradoksem tym większym, że Tadeusz Różewicz jest autorem znakomitego poematu „Regio”, poruszającego te same sprawy o ileż nowocześniejszej i... śmiej. Bo rzekoma obsceniczność tego utworu jest również pozorna.

Różowe małżeństwo

KIEDY „Białe małżeństwo” Tadeusza Różewicza ukazało się drukiem, rozgorzała wokół tego utworu poważna dyskusja. Odezwało się wiele oburzonych głosów, że Różewicz przesadził w obscenach, a byli i tacy, co zgola twierdzili, że poeta zdradził powołanie wieszacza, zagłębiając się w alkwianych szczegółach i to nie najsmaczniej podanych. Wiele zdumiało także — ale już w innej sferze — odejście Różewicza od dawniej wyznawanych i z powodzeniem realizowanych koncepcji „dramaturgii otwartej”: „Białe małżeństwo” to dramat „tradycyjny”, z początkiem i końcem. Ta ostatnia kwestia wyjaśniła się w rozmowie autora z Konstantym Puzyną, drukowanej niedawno w „Dialogu”. Różewicz ogłosił pewien etap swej twórczości za zakończony (co za cios dla licznych epigonów!) i zadeklarował zainteresowanie właśnie dla... „dramaturgii zamkniętej”.

Wróćmy jednak do „Białego małżeństwa” i jego szokującej dla niektórych treści. Ja osobiście, po uważnej lekturze dramatu, nie poczułem się ani zaszkokowany, ani zgorszony — jedynie bardzo, bardzo zawiedziony. Uważam mianowicie, że nie ma takiej dziedziny ludzkiego życia i ludzkich przeżyć, która „nie nadawałaby się” na temat dla poety, dramaturga, pisarza, w ogóle dla artysty. Toteż, jak wiek wiekiem, wszelkie objawy zgorzienia wobec dzieł sztuki były najczęściej odruchami protestu i lęku najbardziej zacofanych części społeczeństwa (i ich rzeczników), zagrożonych w swych estetycznych upodobaniach. Przypomnijmy sobie losy choćby „Ulissesa” Joyce’a, atakowane go właśnie za obsceniczność, za rzekomą pornografię, podczas gdy w gruncie rzeczy chodziło o to, że dzieło w rewolucyjny sposób przekraczało granice gustów pewnej epoki. Warunkiem jednak — by zastosowanie pewnych chwytów artystycznych, obecność pewnych treści było w pełni usprawiedliwione, było naturalne — jest wysoki poziom artystyczny dzieła, a nade wszystko — wyższe racje, jakim dane dzieło służy.

I tu właśnie miejsce na zawód, jaki sprawia „Białe małżeństwo”. Pisze się, że chodzi w tej sztuce o kwestię „seksualnego wyzwolenia kobiet”, co rozumie szerzej, bo przecież nie istnieje żadne „wyzwolenie seksualne” w oderwaniu od wyzwolenia obyczajowego, społecznego, duchowego. Zdawałoby się więc, że sztuka Różewicza włącza się w nurt pewnych procesów, aktywnych we współczesnym świecie. I oto nic podobnego! Różewicz podejmuje ten temat, ale czyni to na sposób wyłączenie realizmów, absolutnie nie przystający do problemów np. dzisiejszego

Jest wręcz przeciwnie, niż chcieli oburzający się „moralisci”: utwór Różewicza jest — mówiąc brutalnie — wręcz pruderyjny i to właśnie na ów dwudziestowieczny, podtasiulawy sposób, przypomina nieodparcie świntuszenie po kolacji, kiedy dzieci poszły spać. Jakże dalekie jest to wszystko od prawdziwej erotyki! A już tym bardziej od erotyki współczesnej, która zdaje się być pocie całkowicie obca (a zapewne nie jest — więc po co ta stylizacja?)

Reakcje widzów w warszawskim Teatrze Małym, gdzie „Białe małżeństwo” jest aktualnie na scenie, potwierdzają moje tezy. Niektórzy widzowie przychodzą tam, aby nawdychać się „zakazanej” atmosfery, aby pośmiać się z niektórych kwestii, których nie wypadłoby powtórzyć w salonie (a w teatrze można! patrzcie, państwo, co za czas!) oraz aby rzucić okiem na rozebraną panią, która przesuwają się po scenie. Tak więc cała sfera filozoficzna, społeczna, moralna sztuki Różewicza zostaje gdzieś obok, przechodzi bez echa, na wierzch wychodzi tylko najpłytsza „obyczajówka” z akcentami komediowymi. Nie o to chyba chodziło?

Miałem nadzieję, że teatr uratuje „Białe małżeństwo”. Była na to szansa — pozornie paradoksalna — w tym, co zapowiadały pierwsze sceny przedstawienia: w komediowym poprowadzeniu sprawy, w potraktowaniu dramatu jako totalnej kpiny. Tak się jednak nie stało, za chwilę ujawniły się próby poważnego traktowania niegdyśszej problematyki, celebrowania demonicznej erotyki a la Przybyszewski — co również budzi śmiech, ale to już jest śmiech przeciwko sztuce.

Raz jeszcze powtarzam: nie poczułem się ani przez moment zgorzony, ani sztuką, ani przedstawieniem. Tylko zawiedziony. Powiem więcej: skoro już autor i teatr zamierzali poruszenie pewnej sfery obyczajowej, która wydawała im się tabu, powinni byli to uczynić w sposób przynajmniej nowy, może nawet właśnie szokujący. Tymczasem w przedstawieniu — jak i w sztuce — erotyka kończy się na koronkowych dessous (bo zabrakło nawet tych ikonograficznych szczegółów, które najbardziej gorszyły przy lekturze dramatu).

Aktorzy grający w „Białym małżeństwie” znajdowali się — przynajmniej — w nieszczegółnej sytuacji. Stąd też rozmaite interpretacje aktorskich, od farsy, do prób głębokiego przeżywania problemów dramatu. Pośród tej różnorodności jedynie Anna Chodakowska potwierdziła raz jeszcze rozległą skalę swego talentu, pozwalającego jej wybrnąć z najniewdzięczniejszych zadań.

MACIEJ KARPIŃSKI